

Kronika tygodniowa.

Zajęcie kronikarza jest wprawdzie bardzo zaszczytne, lecz dość trudne, nie zawsze bowiem można pisać tak, jak człek chciałby, trzeba się na każdym kroku liczyć z różnymi względami wyższej i niższej polityki, a ani rusz wywnętrzyć się tak, jakby się pragnęło.

Z powodu wojny inne sprawy zeszły na dalsze punkty porządku dziennego, a o wojnie pisać ciągle też się nie oplaci, zwłaszcza, że rychlejsze, choć nie zawsze pewniejsze informacje w tym względzie mają pisma codzienne, które ponadto posiadają specjalistów od artykułów wstępnych, omawiających sytuację z najrozmaitszych platform (zależy, jaki wiatr wieje!) gdy tymczasem kronikarzowi pozostała tylko jedna, to jest kronikarska. Na innych czuje się nieswój. Wchodzi tutaj w grę także i nadzwyczaj czułe serce, jakim mnie matka przyroda obdarzyła. Boleję zawsze i z każdym, o kim się dowiem, że cierpi i rad bym mu nieba przychylić, o ile to tylko jest w mej mocy.

Nic też dziwnego, że po tym sentymentalnym wstępie żaloszny początek kroniki poświęcam tym, którzy cierpią najbardziej i skazani zostali na śmierć głodową, to jest kawalerom, czyli, według brzmienia ustawy, osobom, nie prowadzącym własnego gospodarstwa domowego, gdzie, przy również własnym ognisku można się zagrzzać i jako tako nakarmić. (Pić dają tylko wodę!... przyp. zecera).

Otóż biedacy owi, stołujący się dotąd w restauracjach publicznych i prywatnych, mogli dotąd pobierać chleb za kartkami tam, gdzie żywot swój napychali, dziś tego robić nie mogą, chleba nigdzie nie dostaną, natomiast wolno im go przynieść ze sobą w kieszeni i spożyć na miejscu.

Bardzo to ładnie, że wyszło takie zarządzenie, ale zaraz nasuwa się pytanie, skąd ów kawaler, czyli osoba, nie prowadząca własnego gospodarstwa, ma wziąć ów chleb, bez którego bardzo wiele osobników przy jedzeniu obejść się nie może? Musi się z konieczności powędrować do piekarni i tam stanąć w szeregu, czekającego na swą kolej. Ale tam trzeba czekać bardzo długo, nieraz dzień cały, zanim się otrzyma upragniony bocheneczek, a taki głodny kawaler jest urzędnikiem, który musi pójść rano do biura, gdyż inaczej gotów nie otrzymać pensji na pierwszego, natomiast ściągnąć na się dyscyplinarkę za zaniedbywanie się w urzędowaniu i to z tak niskich powodów, jak obżarstwo. Poza to musi kupić cały bochenek, a że dziennie zjada dwie, najwyżej trzy kromki, jak przepis nakazuje, nim dogryzie ten specjał do końca, chleb tymczasem najzupełniej skamienieje i stanie się do użytku niezdatnym.

Przypomina mi się stare przysłowie, które powiada: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem!...”. Ładnie wyglądałby dziś ten, kto dostałby w łeb kawałkiem takiego suchego chleba. Świeży się przylepi, zeschnięty, czerep rozbije.

Ale to do rzeczy nie należy! Wracam do kawalerów i zakazu chlebowego, bo chciałbym wynaleźć jakąś pośrednią drogę, któraby obie strony zadowolila, to jest ustawę i chlebojadów kawalerskich. Otóż, myślę sobie, że jeżeli już inaczej być nie może, to jest, jeśli żaden biedny kawaler kawałka chleba za kartką w jadłodajni przy obiedzie i kolacji nie dostanie, należy w każdym urzędzie i instytucji, gdzie pracuje ich choćby tylko kilku, sporządzić ich spis i jednego delegować z urzędu do chlebowego „ogonka”. Tam zakupiłby wystarczający na cały dzień zapas chleba dla wszystkich towarzyszy niedoli. Obowiązkiem jego (pod osobistą odpowiedzialnością!) byłoby też i podzielenie bochenka na równe porcje, by nikt nie został pokrzywdzony.

Tak postępować mogą jednak tylko ci, którzy pracują w urzędach i instytucjach, co zaś mają robić zupełnie luzem chodzący samożyjcy?... Tym nie pozostaje nic innego, tylko przed obiadem i kolacją kawałek chleba albo gdzieś ukrąść, albo wyżebrać.

Wyobrażam sobie, jak to pięknie wyglądałoby, gdy do drzwi zapuka ktoś. Ja otwieram i widzę eleganckiego, młodego pana z kapeluszem w dłoni. Zaciekawiony, pytam:

— Czem mogę służyć?

A on mi na to:

— Biedny kawaler, idący na obiad, prosi pokornie o kromkę chleba. Oto kartka chlebowa i cztery halerze...

W pierwszym wypadku, jeśli by rzeczywiście człek, nie prowadzący własnego gospodarstwa, kawałek chleba ukradł, naraża się na wejście w konflikt z ustawą karną, w drugim wypadku mogą mu za-

rzucić, iż żyje z dobroczynności publicznej, jako taki więc nie ma prawa używania w pełni przywilejów obywatelskich. I to więc złe i tamto nie dobre, na gwałt trzeba szukać jakiegoś środka zaradczego...

I ani mi przez łepetę nie przeszło, że ta deska ratunku dla chleba chcących kawalerów tak blisko, a my jej nie spostrzegaliśmy! Zoczyła ją natomiast moja Weronika, która, słysząc moje ubolewanie nad garbatym losem kawalerów, rzekła:

— Sami sobie winni! Niech się żenia, będą mieć chleb w domu!

Przyznałem jej w duchu słuszność, bo to i człowiek ma w domu aż trzy latorośle, wędzące z dnia na dzień i czekające na ogrodnika, któryby je pielęgnował, podlewał i t. d. A każda z nich ma swą własną kartę chlebową! Kawalerowie więc mają drogę otwartą do szczęścia, niech tylko wyciągną rękę, już je złapali, a wyjdą na tem dobrze, bo co wikt domowy, choćby nawet wedle książki kucharskiej sporządzony, to nie restauracyjne paskudztwa (katar żołądka wykluczony!), poza to chleba nie braknie, gdyż żona, podczas gdy mąż będzie w biurze, wejdzie w skład „chlebowego ogonka” i załatwi wszystko, jak się patrzy.

Możnaby więc z tego wnosić, że owo rozporządzenie władzy w sprawie zakazu wydawania chleba w publicznych jadłodajniach wydane zostało po porozumieniu się z „Wydziałem niewiast, mających chęć wejścia w związki małżeńskie”, a nie mogących się doczekać na owego królewicza z bajki, który dziś nie przyjedzie w złotej kolasie, ale, co najwyżej tramwajem, lub, jeśli jest takim magnatem, że ma buty całe, „przykna” piechotę. — Jeżeli niewiasty to zrobiły, każdy przyzna, postąpiły sobie bardzo chytrze, używając takiego fortelu i nikt im tego za złe wziąć nie może, tembardziej kronikarz, który zawsze stawał w obronie strony, mającej bodaj jaką taką słuszność. A w danym wypadku cała słuszność jest po ich stronie, cóż warta bowiem baba, nie mająca chłopą przy boku? To chyba każdy przyzna, w szczególności kawalerowie, do których kieruję niniejszą proklamację, wzywając ich w imię ogólnego dobra, aby z ochotą garnęli się pod sztandar małżeńskie. Radzi się wiele nad odbudową kraju, robi się projekty, czy komin ma być w chałupie taki, jak w Zakopanem, czyli też jak w Psiej Wólce, nikt jednak nie zastanowił się nad tem, kto będzie w niej mieszkał. Należy więc pomyśleć i o komisji, mającej się zająć zaludnieniem kraju, i kto wie, czy owo wydanie zakazu podawania chleba w restauracjach osobom, nie mającym dotąd gospodarstwa domowego, nie jest pierwszym krokiem w tym kierunku. Nie chcecie dobrowolnie, to się was zmusi, choćby najbardziej drakońskimi środkami.

Z innej znów strony zapewniono mnie solennie, że zakaz ów, o którym mowa, spowodowany został interwencją magistratu, chcącego do swych wojennych kuchni dla inteligentów zegnać jak największą liczbę stołowników, o ile bowiem słyszałem, chleb tam dotąd wydają.

Ta druga hipoteza nie przemawia do mego sumienia i mózgu, raczej sądziłbym, że pierwsza jest prawie pewnikiem, bo, choć wojna, rodzaj żeński, o ile że jest w znacznej większości, zwłaszcza w „Hinterlandzie”, zaczyna pokazywać zęby i pazurki. Sufrażystki angielskie ruszyły się znowu i odbyły zgromadzenie, na którym zastanawiano się nad zbesztaniem rządu angielskiego, iż zbyt mało pomaga panu Venizelosowi. Z rezolucją wysłano do ministrów słynną panią Pankhurst na czele deputacji. Minister Grey, gdy mu zaanonsowano miłych gości, ze strachu schował się podobno pod kanapę i kazał powiedzieć, że jest zajęty ważnymi sprawami, więc nikogo nie przyjmuje. Pani Pankhurst wygadała się należycie bodaj wobec woźnego prezydenta i prosiła, by to ekscelencyj powtórzył.

— Oho! — pomyślał sobie — ładnie wyszedłbym na tem! Wyrzucenoby mnie na łeb ze służby... zapewnił jednak solennie, że ani słowa nie doda, ani jednego nie uroni.

Także i w Ameryce widzimy budzenie się coraz większego ruchu między niewiastami. Objawem tego wybór pierwszej kobiety-posła do parlamentu Stanów Zjednoczonych. Jest nim pani Ranking, zastępująca stan Montana, a należąca do partii niezawisłej. Wogóle panie amerykańskie wzięły bardzo żywy udział w odbytych niedawno wyborach prezydenta Stanów Zjednoczonych i one podobno przyczyniły się do ponownego wyboru neutralnego Wilsona, o ile to *nota bene* prawda, dotąd bowiem nie wiemy napewno, kto zwyciężył, Wilson, czy Hughes. Różne gazety piszą tak, raz owak. Jeśli Wilson zwyciężył, górą demokraci, jeśli Hughes, republikanie, właściwie zaś niewiasty, jeśli one rzeczywiście szalę zwycięstwa na którąś stronę przechyliły. Ale to zły objaw,

że już nawet Amerykanie dali się babom wziąć za łby!

Skoro więc teraz baby górą, ciekawy jestem, dlaczego u nas miałyby być inaczej, one więc umaczają rękę (*pardon!*... rączkę! przyp. zecera) w sprawie wydania zakazu podawania kawalerom chleba; doprowadzą jeszcze do tego, iż na każdym ogłoszeniu w tej materii wielkimi, czerwonymi literami umieszczony będzie napis: „Żeń się Jasiu, żeń!...” Rzecz prosta, że zdanie to nie tylko się do Janów odnosi, ale do wszystkich kawalerów, nie dźwigających dotąd kajdan małżeńskich, a chcących dmuchać we własne ognisko domowe i mieć do obiadu i kolacji kromkę chleba. Wielu z nich dmuchało i dmucha w cudzy ogień, ale to rzecz niebezpieczna, bo łatwo można się sparzyć, niejednen miał za to i kromkę chleba, lecz zawsze co swój własny chleb, to własny!

Uważam więc moje twierdzenie prawie za udowodnione!

Skoro tak wyczerpująco omówiłem kwestję chlebowo-aprowizacyjno-matrymonialną, dodam jeszcze, że młode stadła małżeńskie mogą się także zaopatrzyć na zimę w miejskie ziemniaki, które gmina miasta Krakowa rozsyła już tym, którzy je zamówili. Narzekają wprawdzie niektórzy odbiorcy na ich jakość, ja przecież sądzę, że lepsze coś, niżeli nic. Gotów się magistrat pogniewać i powiedzieć: „Złe wam, narzekacie, to obejdźcie się smakiem...” i zabierze je do wojennych kuchni, których *menu* na bieżący tydzień przedstawia się bardzo zachęcająco. Czytając repertuar tygodniowy, trzy razy się oblizałem, zwłaszcza przy kaszy hreczanej ze słoniną, przy mamałydze zaś ze śliwkami przypomniało mi się wyodrębnienie Galicji, niedawno nam obiecane.

Owa mamałyga ze śliwkami lub ze słoniną na sunęła mi na myśl refleksje polityczne, nie będę ich jednak w kronice poruszał, gdyż na tą kwestję zapatruję się z innego zupełnie punktu widzenia, niż wyżej wymienieni ruscy politycy i wiem z własnego doświadczenia, jako iż długie lata we wschodniej Galicji przeżyłem, że nie Polacy gniotą tam Rusinów, ale dzieje się wprost odwrotnie. Ubolewałem nieraz nad tem, przypominając sobie owe dawne, lepsze lata, kiedy to i Polak i Rusin uważali się za braci, niechby już stryjecznych, i stawali razem do pracy. Ale wówczas nie było polityków, którzyby właśnie na polityce chcieli zrobić dobry interes, bo oni to nawarzyli owej politycznej mamałygi. Ani im, ani nam nie wyszła ona na zdrowie. Lwia część Rusinów w duchu ich robotę potępia, ze strachu jednak, jak ów Grey, wleźli pod kanapę, bojąc się, by ich nie okrzychno za szkodników narodowej sprawy.

Z jedzenia do polityki, z polityki znów do jedzenia!

Święty Marcin tego roku przeszedł bez śniegu (zwykle przyjeżdżał na siwym koniu, dziś chodź piechotą, gdyż mu widocznie szkapę zabrano), co zaś najważniejsze, bez tradycyjnej gęsi. Są wprawdzie szczęśliwcy, którzy mogą sobie pozwolić na kupienie magistrackiej chudej gęsi (taką gęś można jeść nawet i w dzień bezzębny bez obawy narażenia się na odpowiedzialność...), ale takich wybranych jest bardzo mało, chyba ci, którzy zrobili lub robią jeszcze dobre interesy na różnych dostawach (choć znów niejednen z nich wyszedł, niczem szklarz na mydle... ale o tem, potem!). Przeciętny śmiertelnik, a za takiego się właśnie kronikarz uważa, obchodzić się musi tylko smakiem i bardzo się cieszy, słysząc w dzień targowy miłe geganie, przypominające Rzym, Kapitol i najazd Gallów. Na tem się jednak kończy! Ile razy człowiek miałby apetyt na udo gęsie, lub kawałek piersi, woła cały swój rozsądek na pomoc i powiada: „Obejdź się smakiem!”

